

JÓZEF KISIELEWICZ

ur. 1945; Hrubieszów



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, dzielnica Wieniawa, stawy, magazynowanie lodu, waga, skocznia spadochronowa, Jan Machulski

Wieniawa

Po jednej stronie był taki dom na górze, gdzie Czechów się w tej chwili zaczyna, milicyjny blok był, taki dziwny budynek milicyjny, bo to traktowano jako rogatki, gdyby coś tam się w Lublinie działo, żeby oni tam mieszkali z rodzinami, ale tak, żeby byli do dyspozycji. Mój kolega, z którym chodziłem do szkoły, tłumaczył mi, na czym polegała tajemnica tego domu.

Pamiętam cegielnię, która była jeszcze chyba do lat jakichś początku sześćdziesiątych przy Północnej, duża cegielnia. W ogóle tych cegielni było sporo, tam też była cegielnia, bo były pokłady gliny naturalnej i te pokłady gliny zostały upaństwowione, potem to było jakieś przedsiębiorstwo państwowe w stu procentach, bo innych nie było, ale tam też jako chłopcy to chodziliśmy oglądać, bo to było dosyć ciekawe, też tę glinę wydobywano, wieziono na wózkach, tam ten piec, wypalano, ta glina tak stała, to tak schło.

Były stawy, na tych stawach uczyłem się jeździć na łyżwach. Były właściwie dwa duże stawy, a może trzy, ale właściwie dwa, bo jeden był taki przedzielony, grobla się zapadła. Te stawy na Wieniawie służyły do tego, że pozyskiwano [tam] lód. Wyglądało to w ten sposób, że w mroźne zimy ktoś, kto tam dzierżawił nie dzierżawił, wykuwał tafłę lodu i na tych taflach lodu jako gówniarze żeśmy często jeździli. Raz się skąpałem, wpadłem po pas w zimie. Zanim doszedłem do domu, to te portki, to wszystko to już było sztywne, już ledwo szedłem, na sztywnych nogach. To nigdy nie było głębokie, te stawy. Latem to żeśmy się tam kąpali, niektórzy łapali tam ryby, jakieś tam karasie, takie dzikawe te ryby były. Ale głównie służyło to do pozyskiwania lodu, tafłę lodu wykuwano, wiązano takimi linami, kotwicami, wyciągano na brzeg i przymowano tak z jednej strony, od tej strony północnej, nazwijmy, przysypywano trocinami. Trociny takie z tartaku, jedna warstwa, następnie drugą na to warstwę, tafłę lodu i tak to szło, proszę Pana, do jakiejś tam wysokości i potem na to budowano z desek zadaszanie, żeby słońce bezpośrednio nie działało i latem przyjeżdżały takie platformy, były takie belgijskie ciężkie konie, cała była taka

instytucja koniarzy, którzy po Lublinie rozwozili tam czy tam beczki z piwem, zresztą też to piwo było ładnie wożone, wozy były tak ukształtowane pod kątem i te beczki bokiem leżały. Te konie, belgijska taka specjalna siłowa rasa, rozwoziły tam węgiel ludziom, również [ci koniarze] jakieś meble przewozili, świadczyli usługi przewozowe i oni tymi wozami te tafle potem wozili czy to do rzeźni, czy to ktoś miał lodziarnię, to mu ten lód sprzedawali, czy to gdzieś rozprowadzali tam, gdzie to służyło do schładzania generalnie żywności. Prawdopodobnie jakby ktoś przyszedł i zapłacił, bo to było z całą pewnością prywatne, to pewnie by dostał, ale czy ktoś korzystał, to nie wiem. Te stawy zostały potem zasypane, jak budowano trasę W-Z. Duży był ten skład, bo to całą zimę pozyskiwali ten lód, jeden wyciągnęli, narósł na odpowiednią grubość, nie za grubo, bo ciężko wyjmować, nie za cienko, bo by się łatwo stopiło. I to tak sukcesywnie wycinali, wyciągali.

Była waga w parku Saskim, bardzo długo ta waga była i taka jedna i ta sama osoba siedziała, tam chyba pięćdziesiąt groszy ta waga kosztowała, taka przedwojenna waga. Tam koło fontanny, pod takim [drzewem], nie wiem, czy to była lipa. Za komuny, za wszystkich ta waga [była], nikt jej nie zamykał. Był to taki rodzaj fotela drewnianego, wysokiego, solidnego z jakimiś tam napisami takimi niemalże herbowymi, jakaś manufaktura to wykonała. Siadało się, nogi też się trzymało na takich jak gdyby pedałach, no, taki podnózek był i ta kobita tam coś z tyłu miała. Ja nawet nie wiem, czy ona nie drukowała [wyniku], tylko nie wiem, czy to tu czy gdzie indziej. Coś takiego, że człowiek dostawał jak gdyby pokwitowanie własnej wagi, tylko nie wiem, czy mi się nie pomyliło to, bo podobną wagę to ja potem zobaczyłem w Sopocie w pięćdziesiątych latach, jak ojciec postanowił [mi] pokazać, jak morze wygląda, czy jest słone – taka waga podobna była. W każdym razie lata całe była ta waga, odkąd pamiętam. Ona otwierana była w niedziele, bo w dni codzienne to tam ruchu prawie nie było, ale na pewno w niedziele była otwarta i na pewno cieszyła się popularnością. [Ta kobieta] to była starsza osoba, dobrze była ubrana w znaczeniu takim nobliwym. Prawdopodobnie na palcu Litewskim też taką wagę gdzieś tam zapamiętałem podobną, tam stała taka waga i to tak na wygląd był ten sam typ wagi. Innej nie zapamiętałem, chyba nie było zresztą.

Była skocznia spadochronowa przy ulicy Spadochroniarzy – do dzisiejszego dnia zresztą. Cieszyła się dużą popularnością, oczywiście wejść nie można było, była ogrodzona, skoki się odbywały tam pod nadzorem instruktora, były młode kluby wojskowo-cywilne, najróżniejsze i tam drapano się po tych schodkach, przypinano do tej uprzęży, ćwiczone, to była wstępna nauka dla spadochroniarzy. Rozwijano te sporty, bo to takie było obronno-sportowe, a to było w dobrym stylu i potem dopiero ci, którzy przechodzili przez to, jechali do Radawca i tam uczyli się skakania już tylko na spadochronie. To leciało w dół, potem się zatrzymywało, potem na spadochronie jechał znowu w górę, taka dosyć wysoka była ta wieża. To była konstrukcja klasyczna, metalowa, schodki się wiły na samą górę i [było] takie ramię z wsięgnikiem. Przypinano klienta w szelki, identyczne zresztą jak szelki

spadochronowe, i on tam wyskakiwał, wybijał się i opadał. Nie wiem, czy ona była amortyzowana oddzielnie czy tylko sama czasza spadochronowa, w każdym razie widać było, że uderzali w tę ziemię niektórzy, to nie była naturalna siła, taka jak przy spadochronie, ale walili w tę ziemię.

Cieszyło się to dużą popularnością, ta wieża spadochronowa, z tym że to nie było za pieniądze, tylko to było w ramach jakichś tam klubów, jakichś tam sportów spadochronowych i innych związanych na przykład ze Świdnikiem, a głównie w Radawcu, tam były szybowce i tam niektórzy ćwiczyli.

Pamiętam chałupy, bo Wieniawa to była dawniej wieś taka. Tam miałem kolegę, [ci], którzy zdawali na KUL, tam wynajmowali za tanie pieniądze pokoje na stancje. Czechówka płynęła, tak jak i płynie. To była zresztą dawna droga do Warszawy, tamtędy gdzieś z tyłu przez Wieniawę kiedyś szła, zanim zbudowano drogę przez Aleje Racławickie – to była nowa droga, a to była stara droga do Warszawy przez Wieniawę i te chałupy zaczynały się na tych lessowych wzgórzach, one były pocięte wąwozami, takimi wąskimi, że fura przejeżdżała. Ukryte właściwie tak przed ludzkim okiem. Z tym że tam już takiego trzymania świń, krów nie pamiętam, większość ludzi mieszkała po rodzicach, ale związana była pracą z Lublinem, z utrzymaniem tym takim, no, wiejsko-robotniczym. Były psy, koty, oczywiście gdzieś tam, ktoś tam jakieś kury, coś tam mogło być, ale nie miało to charakteru takiego czysto rolniczego. Tak przynajmniej w pamięci mi się to zapamiętało. Chociaż dalej były pola, ktoś te pola uprawiał, gdzieś to zboże zwoził, bo to wszystko, tam ten Czechów w jedną stronę czy w drugą stronę, tam gdzie szpital powstał, no to wszystko to ja pamiętam jako jedne wielkie pola uprawne, po horyzont, czy tam kartofle, czy co tam sadzono. Natomiast było dużo takich właśnie starych, nawet niekoniecznie krytych słomą chałup, z gankami takie były, ni to miejskie, ni to wiejskie. Bardzo dużo osób, kolegów miałem takich z historii sztuki, miałem przyjaciela, jeszcze do tej pory znam, to oni tam wynajmowali, bo to były tanie pieniądze, a ponieważ jeszcze czesne było tak, że jeden płacił, a reszta w nocy [wchodziła], bo to był parter, to tam przez okno można było wejść. Nawet ci, co mieszkali gdzieś tam, [na przykład] kobiety na Poczekajce albo w tym akademiku, taki był kulowski akademik w centrum miasta, tam gdzieś Radziwiłłowska, gdzieś o tam był taki, to się bali [późno wracać], bo tam sprawdzali, to jak ktoś popił – był system nad nimi takiego nadzoru, kontroli – no to wolał iść tam, przespać jedną noc, żeby go nie przyuważono, że jest w stanie nietrzeźwym albo coś takiego. Tak samo było z dziewczynami, na Poczekajkę jak już się spóźniły – miałem przyjaciela malarza, który przyjmował [na nocleg], nie dla celów jakichś tam seksualnych, tylko po prostu żeby przenocować, tam materac już stał w pracowni na LSM-ie, żeby po prostu te zakonnice nie namierzyły, że dziewczyna wraca nad ranem.

Kiedy ja już tam mieszkałem, to czy coś Wieniawie zostało z tego uroku z wierszy Czechowicza? Ona nie została właściwie zniszczona za bardzo, z tego co ja pamiętam. Ja tam ruin nie pamiętam, pamiętam ruiny, jak się tu przedzierałem

pierzeją od Bramy Krakowskiej, co została tamta część zbombardowana, do tego kina Staromiejskiego, żeśmy taką wąziutką nie uliczką tylko ścieżką [szli], pamiętam jeszcze ruiny tam, gdzie Czechowicz zginął, bo to była kupa ruin po tym hotelu, a tam nie pamiętam ruin.

[Na Wieniawie] mieszkał na przykład Machulski, aktor, sąsiadem był tam, gdzie ja mieszkałem. No, chyba ten najbardziej był znany. Mieszkał w bloku, Aleje Raławickie dziewięć to naprzeciwko RDM-u, po jednej stronie RDM i Staszic, a on mieszkał po drugiej. To był taki blok, w którym zasiedlano ludzi bardziej zasłużonych, tam dużo inżynierów mieszkało. Na przykład kiedyś Werner, w TVN-ie tam taka jest, wspominała, że jej dziadek był twórcą żuka nie żuka. No i rzeczywiście ja pamiętam nie Werner, bo ona była za mała, ale pamiętam prawdopodobnie jej ojca, bo oni mieszkali tam. A dlaczego pamiętam? Bo mieli cudowną kolejkę, elektryczną, niemiecką, taką ho ho ho. I oni to puszczała nam, chłopakom z podwórza. Tę kolejkę mieli gdzieś z ziem zachodnich, szaber z tamtych stron. Mieli ładne, trzypokojowe mieszkanie i w jednym [pokoju] rozstawiali tę kolejkę z wiaduktami, z przejazdami, to było w latach pięćdziesiątych. Ci faceci, którzy tam [pracowali] – bo on był twórcą czy współtwórcą żuka, potem był w Starachowicach STAR 20 – też mieli słabość na punkcie takich zabawek, takiego hopla, no. I po prostu zapamiętałem to, bo to [było] dosyć niezwykle w tej biedzie, niektórzy na fajerkach jeździli, a tu taka super, hiperteknika czysto niemiecka i jeszcze zasilana jakoś tak elektrycznie jak z gniazda, jakieś tam przetwornice, a to wszystko jeździło, ruszało się, te wszystkie semafony nie semafony, były zwrotnice, to tyle lat temu, a ja to dobrze pamiętam. Gdzieś kiedyś w jakimś warszawskim supermarkecie popatrzyłem na te współczesne [zabawki], to gdzie tam [im] do tej precyzji niemieckiej, to się otwierały te wszystkie drzwiczki, to było duże, te wagony to były takie z półmetrowe. To naprawdę był cud techniki. Czyli tam mieszkali ludzie tego pokroju, bo tu nie można było sobie o tak zamieszkać, że ktoś chciał, czy nie chciał, tylko ktoś tam tym sterował z władz, z wydziałów jakichś tam, a pewnie jeszcze ktoś tam czuwał. Ale jakichś tam akuratnie w tej części innych wybitnych nie było, bo bym wiedział, bo bym znał, bo moja mama żyła aż do śmierci w tym bloku i pamiętała wszystkich. Ani ja nie pamiętam [nikogo znanego], ani z innych moich kolegów nikt tam się ponad jakąś przeciętność nie wybił.

Data i miejsce nagrania	2012-07-05, Lublin
Rozmawiał/a	Marek Nawratowicz
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"